Szanownemu Panu Profesorowi S. J. Wilczyńskiemu z prośbą o łaskawą pamięć

Aut.

ARCHIWUM

HISTORJI I FILOZOFJI MEDYCYNY

POD REDAKCJĄ

ADAMA WRZOSKA

TOM I-SZY

ZESZYT I.

ODBITKA.

STANISŁAW TRZEBIŃSKI.

MEDYCYNA W POLSCE

W ŚWIETLE NIEKTÓRYCH PAMIĘTNIKÓW XVII WIEKU.

POZNAŃ

MCMXXIV

STANISŁAW TRZEBIŃSKI.

MEDYCYNA W POLSCE
W ŚWIETLE NIEKTÓRYCH PAMIĘTNIKÓW XVII WIEKU.

Ogólnie wiadomo, że, aczkolwiek niejednokrotnie przeciwstawia się medycynę zawodową medycynie ludowej, w istocie różnice pomiędzy jedną a drugą bynajmniej nie są zasadnicze. Polegają one na większej ścisłości, dokładności oraz systematyczności pojęć lekarskich u zawodowców, podczs gdy powierzchowność wyobrażeń odnośnych u publiczności odbija się, nawet na stosowanej przez nią terminologji. Tak naprzykład nie przypominam sobie, aby mi się zdarzyło kiedykolwiek czytać w prasie nielekarskiej wyraz „bacyl" (prątek) pisany inaczej jak „bakcyl", chociaż trudno przypuścić, aby w żadnej redakcji żadnego dziennika politycznego nie było nikogo, ktoby nie wiedział, że „bacillus" pochodzi od „baculus" i dzięki temu pisze się przez jedno, nie zaś przez dwa „c". Chodzi przecież o co innego: sprawy, dotyczące medycyny, z natury rzeczy interesują te sfery tylko zupełnie przygodnie i z tej racji mniej lub więcej powierzchnie się traktują.

Ale jest jeszcze jedna różnica, tym razem — chronologiczna.

Poglądy, które już obowiązują fachowców, nie wchodząc zresztą w to, czy są słuszne, czy niesłuszne, potrzebują pewnego czasu do tego, aby zyskać prawo obywatelstwa wśród szerszych kół publiczności, utrzymując się natomiast w tem środowisku jeszcze wtedy, kiedy już zdążyły przeżyć się i zaniknąć w kołach lekarskich. Sięgam pamięcią jeszcze w te czasy, kiedy wśród publiczności, starsi zwłaszcza pacjenci, nieraz domagali się upustów krwi, podczas, kiedy młodsze pokolenie lekarskie chwaliło się tem, że nigdy takiej operacji nie widziało. Natomiast teraz, kiedy wśród nas haematofobia znacznie już osłabła, troskliwe mamy — a o tem sam niejednokrotnie miałem sposobność się przekonać — obawiają się, czy przypadkiem utrata paru kropel krwi, wziętych z palca córeczki w celu przeprowadzenia hematologicznego badania, nie wywoła u niej anemji. Taką samą była historja mięsnej djety, stosowania wyskoku, jako środka leczniczego, i całego szeregu różnych innych „bojowych kwestyj" z zakresu terapji i higjeny. Zawsze w podobnych razach prawo inercji silniej się zaznaczy z zupełnie łatwo zrozumiałych powodów wśród publiczności niż w kołach zawodowych, a tem silniej, im mniej kulturalną ta publiczność będzie.

Zdarzają się przecież wyjątki. W epoce, w której zaczęło się rozpowszechniać stosowanie surowicy przeciwbłoniczej, a więc w połowie ostatniego dziesięciolecia ubiegłego wieku, praktykowałem na prowincji, na rosyjskiem Podolu, mając dużo do czynienia z ludnością wiejską, składającą się, oczywiście, w znacznej części z analfabetów. Jednakże nowa metoda leczenia, dzięki doraźnym i widocznym dla wszystkich pomyślnym wynikom, tak szybko się spopularyzowała, że już po paru latach niejednokrotnie staczać musiałem walki z matkami, domagającemi się zastrzyknięcia surowicy dzieciom, które

wcale na dyfterję nie chorowały. Jeśli porównamy tę okoliczność z oporem przeciwko szczepieniu krowianki, dalekim od wygaśnięcia jeszcze dziś pomimo studwudziestokilkoletniej historji wakcynacji, to wytłumaczyć sobie różnicę będziemy mogli chyba tylko tym faktem, że skutek natychmiastowy silniejsze na ludzi wywiera wrażenie od takiego, na który dopiero trzeba czekać, a leczenie bardziej bezpośrednio na umysł ludzki działa od zapobiegania.

Koniec końcem, poznając poglądy na sprawy lekarskie, panujące w danej epoce w szerokich kołach publiczności, wytwarzamy sobie, oczywiście, z pewnemi zastrzeżeniami pojęcie także o odnośnych poglądach zawodowców, do których jednak wypadnie się nam zwracać po informacje, o ile nam chodzić będzie o ich ścisłość i dokładną współczesność.

Z drugiej strony jednak głosy, pochodzące z kół niefachowych, dają nam zupełnie bezpośrednie i cenne wskazówki w sprawie stosunku publiczności do medycyny i jej przedstawicieli. Co publiczność myśli o medycynie i o lekarzach, o tem naturalnie od niej samej najprędzej i najpewniej się dowiemy.

Otóż między innemi ta myśl kierowała mną, kiedym się zabierał do opracowania pamiętnikarskiej literatury polskiej pod kątem widzenia historji medycyny. Praca zaledwie zaczęta, a nawet wiek XVII w tym kierunku jeszcze nie całkowicie wyzyskany. Z tem wszystkiem wśród zebranego dotychczas materjału znajdzie się może nieco szczegółów nie pozbawionych interesu.

Zanim je jednak przedłożę, niech mi wolno będzie w kilku słowach scharakteryzować naukowe tło epoki. Wiek XVII znamionuje dalszy rozwój kierunku, który już w wiekach poprzednich zaznaczył się w naukach przyrodniczych i medycynie, a mianowicie samodzielnego spostrzegania i badania w przeciwstawieniu do spekulacyjnych upodobań średniowiecznych.

Przyniósł on nam wielkie odkrycie Harveya, pierwsze usiłowania w kierunku poznania świata mikroskopijnego (Kircher, Leeuwenhoek, Malpighi) oraz godne uznania, aczkolwiek przeważnie chybione próby zastosowania zdobyczy, dokonanych na polu fizyki i chemji, w celu zrozumienia gospodarki ustroju ludzkiego oraz leczenia jego niedomogań (jatrofizycy i jatrochemicy).

W dostępnych mi pamiętnikach i korespondencjach nie natrafiłem nigdzie na ślad, aby się w ówczesnej Polsce ktokolwiek (przypominam, że nie mówię tu o uczonych i o lekarzach) temi rzeczami interesował. Ani słowa o tem wszystkiem nawet w listach p. Pierre des Noyers, sekretarza królowej Marji Ludwiki, człowieka wykształconego, wykazującego nie tylko godną lepszej sprawy wiarę w życiową doniosłość astrologji, lecz, co ważniejsza, żywe zainteresowanie się fizyką. To zresztą zrozumiałe. Ciekawość publiczności zwraca się zawsze w stronę zagadnień natury wyraźnie praktycznych, w medycynie zatem ku kwestjom, dotyczącym raczej etjologji, symptomatologji i lecznictwa chorób.

W istocie też materjały z zakresu tych dziedzin w każdym prawie pamiętniku dadzą się odnaleźć.

Częste zwłaszcza znajdujemy wzmianki o chorobach zakaźnych ostrych, przedewszystkiem zaś o powietrzu, które grasowało w Polsce wielokrotnie w wieku XVII. Tak np. w r. 1639 w sierpniu książe Albrecht Radziwiłł notuje, że w Gdańsku po 300 i więcej trupów dziennie chowano z zarazy (swoją drogą wówczas właśnie poza tem miastem, w Polsce jakoby tylko kilka wsi morem było dotkniętych); mówią też o morze często inni pamiętnikarze. Co prawda, nie zawsze można być pewnym, że wtedy mianem powietrza oznaczono to właśnie, co dziś my nazywamy morem czy też dżumą. Obowiązywały jeszcze nieraz zapatrywania Galena, mocą których mówiło się o epidemji wtedy, kiedy chorowało dużo ludzi jednocześnie,

a o „powietrzu" (pestis) kiedy ich dużo umierało. Ale zresztą w powyższej sprawie posiadamy dosyć dokładniejszych informacyj, pochodzących skądinąd, i materjał, z którego czerpię, nic godnego uwagi w tej mierze nie dodaje.

Że ludzie XVII w., podobnie jak to się działo wcześniej i później, czynników etjologji patologicznej z jednej, a czynników leczniczych z drugiej strony szukali nie tylko w świecie naturalnym, lecz też w dziedzinie teurgji i demonologji, to nas nie będzie dziwić. Nie wyda się też nam rzeczą szczególną, że ks. Radziwiłł, widzący przyczynę wybuchnięcia powietrza w pewnem miasteczku w czapce, lub nawet jabłkach, nabytych od osób zarażonych, wszystkie wypadki wyleczenia z różnych chorób, zaszłe w jego najbliższej rodzinie, tłumaczy każdorażową specjalną interwencją Matki Boskiej lub Świętych.

Nierzadkie bywają wzmianki o ospie. Umarł na nią, a to jest dostatecznie stwierdzonym faktem, 1634 r. w listopadzie, w 21 roku życia, królewicz Aleksander Karol Waza, zaraziwszy się nią we Lwowie od brata, późniejszego króla Jana Kazimierza. Otóż godna uwagi okoliczność, że według relacji tegoż księcia Radziwiłła, obaj oni jak się zdaje chorowali już poprzednio na ospę 1632 r. jednocześnie z bratem Karolem i siostrą, a Kazimierz nawet bardzo ciężko tak, że o życiu jego zwątpiono. Czytamy mianowicie u Radziwiłła, że 9 maja, a więc w 10 dni po śmierci króla Zygmunta III, zachorowała na ospę królewna, 14-go zaś zachorowali ciężko (na co, pamiętnikarz nie mówi, ale chyba także na ospę?) trzej królewicze: Kazimierz, Karol i Aleksander. Nazajutrz, to jest .15-go, Kazimierz był w wielkiem niebezpieczeństwie życia. Jednakże już 16-go dowiadujemy się, że to niebezpieczeństwo minęło. Ponieważ powtórne zapadnięcie na ospę naturalną i to 2 braci, do tego jednocześnie, w jakieś półtrzecia roku po pierwszej ospie, musiałoby się wydawać zdarzeniem już zupełnie niezwykłem, nie pozostaje nic innego jak przypusz-

czenie jakiegoś nieporozumienia, którego na razie nie umiem sobie wytłumaczyć.

Z innych chorób zakaźnych ostrych spotykamy się nierzadko ze wzmiankami o czerwonce (dysenterji), na którą umarł po 3 dniowej chorobie królewicz Zygmunt, syn Władysława IV.

Jeszcze częściej słyszymy o różnych malignach, gorączkach i febrach, co do których niełatwo się zorjentować, do jakiego typu należały; niemała zapewne część — do kategorji tyfusów. Tak więc mogła być tyfusem wysypkowym choroba Paska, którą się on zaraził od chorego kolegi, przyjętego na na nocleg i po której mu też „czupryna precz wylazła".

Oczywiście, na porządka dziennym bywały różne postacie zimnicy, której wówczas jeszcze prędko leczyć nie umiano. (Kora chinowa przywieziona w.XVII w. do Francji, do Polski się widać jeszcze nie była dostała). A więc Krzysztof Zawisza, wojewoda Miński, w Wenecji 1669 r. półtrzeciej niedzieli na czwartaczkę chorował. Odpędził mu ją wprawdzie „excelentissimus Montizielli, doktor wielki", ale niezupełnie widać, bo roku następnego w drodze powrotnej do ojczyzny wojewoda nie jest wolny „ab impetione febrili", pomimo używania lekarstw według recepty innego sławnego doktora Agricoli z Oleśnicy. Traci on ostatecznie febrę dopiero po przybyciu do swego majątku Usnarza na Białej Rusi.

Zresztą według zapewnień księcia Radziwiłła poseł hiszpański w Warszawie już 3 lata na kwartanę choruje.

W listach cytowanego sekretarza Marji Ludwiki, p. des Noyers, znajdujemy opis przebytej przezeń choroby, o tyle ścisły, że, chociaż jej nie nazywa, z wielkiem prawdopodobieństwem postawić możemy rozpoznanie włóknikowego zapalenia płuc; a w listach króla Jana III do żony opis innej ostrej zakaźnej choroby, zwanej „gorączką Węgierską", ciężko trapiącej wojska polskie po zwycięstwie Wiedeńskiem, podczas Węgierskiej jesiennej kampanji 1683 r. Oto co pisze

król: „Gorączka to jest niby wewnętrzna z dysenterją krwawą; przytem wymioty, mdłości i le délire. ...Panowie wszyscy i oficerowie leżą na pował w Preszpurku, gdzie się zostali i już niemało umierać ich poczęło, a co najdziwniejsza, że się wraca coraz ta choroba, choć kto i wyzdrowieje". I w późniejszych listach powraca jeszcze król do tej podstępnej niemocy, „bo to dziwna, że tu dopiero chodzi, a tu już przybywają, że źle, że mdleje, że umiera." ...„P. Gałczewski, podczaszy Lubelski, chodząc prawie skonał na tę plugawą chorobę." Co to było ta febris hungarica? W epidemjologicznej nomenklaturze zeszłego jeszcze wieku nazwa ta była synonimem duru wysypkowego. Oto, co Józef Frank pisze w 4 tomie swego dzieła „Praxeos medicae universae praecepta. Lipsiae 1826" na str. 3 pod nagłówkiem de typho: „Terrorem incutiunt nomina febris pestilentialis, affectus pestilentialis, et febris malignae. Febris Hungarica, lues Panonica, Languor Panonicus, nil aliud morbum quatenus ex Hungaria quondam proficiscebatur, indicant." A dalej na str. 9: „Nec minorem observandi opportunitatem typhus a MDLXVI in Hungaria exercitum Imperatoris Maximiliani II adortus pace composita... etc." Z tem wszystkiem symptomatologja, skreślona przez Jana III bynajmniej za takiem tłumaczeniem owej choroby z 1683 roku nie przemawia, ale oczywiście nie była to też zwykła dysenterja. Analogje nasuwają się rozmaite, z pewnem prawdopodobieństwem trudno się jednak w tej mierze stanowczo wypowiedzieć.

Szczególną cechą owej zagadkowej choroby byłoby według królewskiego świadectwa to, że nie tylko mniej ona szkodziła Niemcom niż Polakom, lecz też, że względną przeciw niej odpornością mogli się poszczycić pijacy. Jeśli król w istocie się nie mylił, to antyprohibicjoniści posiadaliby o jeden argument więcej w swym arsenale, niestety, jednak doświadczenie zanadto wyraźnie poucza nas właśnie w kie-

runku zmniejszonej odporności pijaków przeciw ostrym zakaźnym chorobom, abyśmy nie mieli prawa przypuszczać, że w tym przypadku obserwacje zwycięzcy z pod Wiednia może nie były dostatecznie ścisłe. Natomiast pijaństwo przecież przydało się na coś w innym przypadku, o którym wspomina książę Radziwiłł. Mianowicie sejm 1643 roku byłby nie doszedł do skutku, gdyby posłowie, którzy mieli go zerwać, nie byli się w porę bardzo gruntownie upili. Dzięki temu nie mogli przyjść na sesją i sejm szczęśliwie dobiegł końca.

Poruszyliśmy tu bolesną sprawę nadużywania wyskokowych napojów w Polsce, sprawę dziś jeszcze wybitnie aktualną. Po przymusowej wstrzemięźliwości w epoce wojny wszechświatowej i w okresie rewolucyjnym, pije się teraz — przynajmniej w dawnym zaborze rosyjskim — chyba więcej jeszcze niż przed wojną, i to pije wyłącznie prawie alkohol w możliwie najsilniejszej koncentracji, bo w postaci wódki. Na opłakane następstwa tego zgubnego nałogu wszyscy codziennie patrzymy, a nie możemy się obronić przed myślą, że jednak zanadto filozoficznie tę sprawę traktują ci, co przedewszystkiem głos ostrzegający podnieść powinni. Ale obecnie chodzi nam nie o chwilę dzisiejszą, lecz o to, czy w wieku XVII w Polsce ponowało w samej rzeczy pijaństwo większe niż w tym samym czasie w innych krajach. Twierdzi to kategorycznie w swych cennych notatkach z podróży von Werdum, który za panowania Michała Korybuta kilkakrotnie zjeździł Polskę od Gdańska po Dzikie pola, jako sekretarz tajnego agenta francuskiego, abbé de Paulmiers. Ale pito potężnie nie tylko u nas. Z Hamleta wiemy, że według pojęć angielskich Danja słynęła jako kraj opojów, a przecież w ojczyźnie Szekspira również nie wylewano za kołnierz. Jeszcze w początku XIX w. przecież Józef Frank brał udział w bankiecie, urządzonym przez oficerów garnizonu w Norfolk dla kolegów z pułku przemaszerowującego przez to miasto, na którym niezgorzej sobie świad-

czono. Znaczna część uczestników ku końcowi obiadu znalazła się pod stołem, a innych ordynansi musieli odprowadzać albo odnosić do domu. Nic więc dziwnego, że kiedy tegoż Franka przed bankietem u jednego z zamożnych ziemian na Litwie przestrzegano, aby się pilnował, bo go mogą spoić, odpowiedział, że się nie boi, bo przecież pił z Anglikami, wychodząc cało z tej imprezy. Pokazało się, że przecenił wartość swych angielskich doświadczeń. Zmuszony do spełniania toastów beznogim kielichem, do którego za każdym razem wlewano pół butelki szampana, nazajutrz mógł przypomnieć sobie jedynie tylko początek uczty. Czytamy też u Albrechta Radziwiłła, że Elektor Brandenburski, przyjmując Władysława IV, chciał go koniecznie spoić, ale skończyło się na tem, że sam się upił. Dworzanie musieli go odnieść do gabinetu, „gdzie", jak się wyraża ostrożnie książę Radziwiłł, „dług obżarstwa swego spłacić musiał". Wiemy też aż nadto, co się działo nieco później na bankietach Piotra Wielkiego oraz tylu i tylu innych.

Z tem wszystkiem miłoby nam było spotykać się w naszych ówczesnych pamiętnikach nie tak często z ustępami, świadczącemi o tem, jak bez pamięci poprostu u nas właśnie pito. Tak np. tyle razy już cytowany Albrecht Radziwiłł, suchym, kronikarskim stylem, bez żadnych komentarzy kilkakrotnie notuje, że senatorowie pijani przychodzili do króla na naradę, a zapisuje w Wilnie 1636 r.: „Król do kaplicy św. Kazimierza poszedł, gdzie go biskup z duchowieństwem czekał, samą tylko infułę mając trzeźwą". Trudno wyrazić się bardziej oględnie i bardziej stanowczo zarazem. A trzeba pamiętać, że książę Albrecht, to nie żaden heretyk, lecz katolik gorliwy, który, występując w obronie interesów katolicyzmu, kilkakrotnie nie waha się narazić Władysławowi IV; niełatwo więc spłynęło mu zapewne z pióra takie wspomnienie o księciu kościoła.

Obcą jest oględność księcia Radziwiłła innemu pamiętnikarzowi, również już powoływanemu wojewodzie Mińskiemu Zawiszy. Ma on to sobie nawet jakby za honor, że — oto jego własne słowa z 19. VI. 1699 — „z królem Augustem II na pokojach upiłem się do sytości, wino wprzód, potem gorzałkę pijąc, alias dubl anyż, którego śmy się z królem po 5 razy napili". W innem miejscu przyznaje się, że małoco nie umarł po pijatyce u wojewody Mścisławskiego, nie będąc jednak pewnym, czy przyczyną choroby było przepicie się czy też urok. W pamiętniku jego natrafiamy co chwila na opisy pijatyk, ciągniących się często po kilka dni zrzędu.

Szczerszym od Zawiszy jest p. Jan Chryzostom Pasek. Nie składając winy na okultystyczne wpływy, z widoczną skruchą przypisuje on przepiciu się ciężką chorobę, która go ledwie do grobu nie wpędziła. 30. VIII. 1685 r. znajdujemy u niego taką notatkę: „Przypadła mi ta choróbka z przepicia dla nieszczęśliwej kompanji, która mnie zawsze do tego przywodziła."

Wprost szalonemu nadużyciu gorzałki zawdzięczał natychmiastową śmierć wojskowy kolega brata jeszcze innego pamiętnikarza, Samuela Maskiewicza, podczas kiedy choroba, a następnie śmierć owego brata w poźniejszym już czasie, miała zapewne źródło w tej samej fatalnej pijatyce.

U Maskiewicza znajdujemy szczegółowy, choć widocznie z opowiadania osób trzecich zaczerpnięty, opis obłędu pijackiego (delirium tremens) z łatwo zrozumiałych powodów transponowany na demonologję. Chodziło o niejakiego Brzezickiego z Lublina, który służył w rocie pana Skuminowej, a rzecz sama działa się w Samborze. Otóż do tego Brzezickiego, który był strasznym hulaką, pił gorzałkę z każdym, kogo spotkał, nigdy się nie wychmielił, nie wiedział kiedy dzień, kiedy noc, przyszli djabli o północy, chcąc go gwałtem zabrać do woza, stojącego przed domem. Brzezicki, zrozumiawszy, że sprawa może się skończyć nieprzyjemnie, zaczął się rozmaitemi sposo-

bami wymawiać od tej podróży. To trzeba mu było nie czterech, lecz aż sześciu koni, to znowu kazał wyściełać wóz dywanami. Djabli spełniali wszystkie kaprysy, ale wreszcie się im przecie znudziło. Jeden z nich więc, przywiązawszy ręcznik do nogi od łóżka, zaczął ciągnąć na dwór opornego delikwenta. Ale w sam czas kur zapiał i djabli się ulotnili, pozostawiając mu tylko na pamiątkę wędzonego karpia z poleceniem, aby go zjadł z kilku kolegami wojskowymi, podobnymi doń pijakami. Po tem zajściu Brzezicki 2 tygodnie siedział u XX Bernardynów, którzy nad nim exorcyzmy odprawiali, ale djabli nawiedzali go jeszcze ciągle przez pół roku, poczem go dopiero zostawili w spokoju. Koniec końcem odprzysiągł się on od wódki, ale zato małmazji ciągnął więcej niż dawniej.

Równomiernie z nadużyciem napojów gorących częste bywało nadużycie w jedzeniu. Książę Radziwiłł bardzo ubolewał, że podczas kampanji Moskiewskiej był okres, kiedy królowi Władysławowi IV jedna kura musiała na cały dzień wystarczać. W innem miejscu wyraża się on lekceważąco o obiedzie, wydanym królowi przez elektora Brandenburskiego, dlatego, że składał się tylko z 10 potraw; Ulryk von Werdum zaś pisze, że w Polsce obiady trwają po kilka godzin dzięki temu, że bywa po 10 – 20 dań, a z każdej miski biorą. Nic dziwnego, że w takich warunkach często musiały zdarzać się takie zaburzenia przemiany materji, jak otyłość, podagra, kamienie żółciowe i nerkowe. Wiadomo bowiem, że do takich schorzeń usposabia intensywne odżywianie się w ciągu całych pokoleń w połączeniu z używaniem napojów wyskokowych oraz brakiem pracy fizycznej. To też otyłym był Władysław IV, a jeszcze otylszym Jan III. Radziwiłł wspomina o Podskarbim W. X. Litewsk. Tryznie, chwaląc go, że był to mąż cnotliwy, łagodny, dla każdego przychylny (może to więc ten sam Tryzna, o którym mówi kantyczka: każdy przyzna, że pan Tryzna był człek świętobliwy), ale dodając, że dzięki wielkiej otyłości potrze-

bował on na kontusz aż 17 łokci sukna, podczas gdy zwykłemu śmiertelnikowi 6 łokci wystarczało.

O podagrze zaś czyta się na każdym kroku. Zapada na nią często Ks. Albrecht Radziwiłł, a Zawisza z uczuciem pewnej dumy zapisuje pod datą 12. III. 1702 r.: w Wilnie dostałem od wina pierwszy raz „pańskiej choroby", podagry. Nazwę „pańskiej choroby" zresztą podagra nosiła nie bez racji. W istocie ciągłe o niej wzmianki znajdujemy w arystokratycznych pamiętnikach (Radziwiłł, Zawisza, Chrapowicki). Ani Pasek, ani Maskiewicz natomiast nic nie wspominają o tem, aby na nią cierpieli oni, albo ich znajomi. A przecież wiemy, że abstynentami oni również nie byli. Tylko, chociaż „bene nati", należeli oni do średnio w najlepszym razie zamożnej szlachty, która nie miała poza sobą tylu pokoleń, nie pracujących fizycznie, a odżywiających się ponad potrzebę. Oni sami zaś, pijąc potężnie, mocnych win węgierskich i południowych używali przecież tylko z racji szczególnie uroczystych okazyj, częściej racząc się wódką i krupnikami, których użycie i nadużycie wywoływać może wprawdzie cały szereg szkodliwych wpływów na ustrój ludzki, nie stwarzając jednak szczególnej dyspozycji do podagry. Cierpiał na nią Zygmunt III i Jan Kazimierz, a nie wychodził prawie z różnych dolegliwości, z nią związanych, Władysław IV. Rzeczą całkiem zwyczajną bywało to, że go na posiedzenia senatu wnosili w łóżku hajducy, bo chodzić nie mógł. Choruje on prócz tego na kamienie nerkowe i różne inne przypadłości, rozwijające się na tle „skazy dnawej" (diathesis urica). Sądząc z tego, co pisze Radziwiłł, oraz nieznanego nazwiska autor współczesnego pamiętnika, wydanego przez Kazim. Wójcickiego (Warszawa 1846), znaczną część panowania musiał on spędzić w łóżku i na kuracjach. Wiemy np., że w towarzystwie królowej Cecylji Renaty, siostry królewny, czyli jak ją też nazywano niekiedy „infantki", oraz licznej świty magnatów, jeździł on leczyć się do Cieplic, gdzie,

jak się wyraża dopiero co zacytowany anonimowy pamiętnikarz, „doznano polepszenia, raz z zażywania tych wód, druga, że tam zachowywali pomiarkowanie w jedzeniu potraw y napoiu trunków różnych, oraz zakazanych a szkodliwych rzeczy strzegli się używać".

Swoją drogą to ustawne chorowanie przecież nie wpływało w widoczny sposób hamująco na energję, której ciągłe dowody pomimo to składał ten, bądź co bądź nie tuzinkowej miary monarcha, nie tylko w sprawach państwowych, lecz też w życiu prywatnem. Nie będąc już młodzieniaszkiem, w 40-ym roku życia, zakochuje się on na zabój w portrecie młodziutkiej córki Palatyna Renu i chce się z nią gwałtem żenić wbrew opinji większości senatu, przeciwnej temu małżeństwu ze względu na różnicę wyznania (kandydatka na królowę polską była mianowicie protestantką). — Już to o ortodoksji katolickiej Władysława IV współcześni wogóle nie mieli wysokiego wyobrażenia, tłumacząc sobie obojętność dla interesów katolicyzmu, cechującą go w przeciwstawieniu do gorliwości katolickiej ojca jego, Zygmunta III-go, okolicznością, że karmiła go mamka heretyczka. A jak się umiał ten król bawić, to opisuje z dającą się wyczuć niechęcią surowy obyczajowo Książę Albrecht: „Tymczasem król zapusty odprawował, jednego dnia sam częstując, drugiego królowa, trzeciego królewna. Na tańcach tych Poniatowski, dawny sługa, nogę złamał, jedna matrona zacnej familji poroniła, a król przypłacił tych skoków boleściami kalkułu, które i drugiego miesiąca cierpiał". Ale najjaskrawszą ilustracją owej niespożytej „joie de vivre" królewskiej stanowią okoliczności, poprzedzające jego ostatnią, śmiertelną chorobę. Oto, jak je przedstawia anonimowy pamiętnikarz Wójcickiego:

„Król z Wilna do Merecza powróciwszy, dzień wytchnąwszy" (było to w maju, ale wówczas niebardzo dbano o ochronny czas dla zwierzyny) „raniuteńko wyjechał na polowanie

kolaską odkrytą, bo był słaby y dzień cały aż do zachodu słońca w polu bawił się a za źwierzem jak nayprędzey przez zagony zacinać konie stangretowi kazał. Stangret, zważaiąc królewskie zdrowie nadwątlałe chorobą, bo niedawno powstał z choroby, nie nagle biegł, król, rozgniewawszy się, stangreta z kozła zrzucił, sam lejce porwawszy, przez pnie, kamienie, miedze, rowy y zagony, pędził konie po chrustach, nie zważając ni na wóz ni na zdrowie swoje y tak gwałtowną agitacyą chorobę sobie odnowił y śmierć przyśpieszył. Po północy pleura poczęła trapić króla, zawołani medycy ratowali go przecie, że mu zrana ulżyło, znowu chciał w pole wyiechać, iednak pragnienie zbytnie y ckliwość go wstrzymali... dnia 7-go Maja nieznośny ból czuł wewnątrz y wszystkie junktury onemu łamało, gorączka, bolenie głowy nastąpiło, przytem febra przypadła". Potem następuje opis dalszego przebiegu choroby i śmierci w nocy z 19-go na 20-ty maja. Radziwiłł, krócej opisujący niemoc królewską, mówi: „oto na kalkuł zaczął król chorować, potem nastąpiła maligna". Jeszcze jedną, co prawda, niezupełnie dokładną relację ostatniej choroby królewskiej znajdujemy w opowiadaniu Macieja Littawera, nadwornego królewskiego lekarza (Gąsiorowski T. II str. 250). „Przyszedłszy król do lepszego zdrowia... jechał do Merecza... zachorowawszy tamże, gdy mu inszego ratunku dać nie umiał albo nie chciał doktor Kasparus Krafft, collega mój, dał 9 ziarn Antimonii praeparati in ovo sorbili, jeszcze nie z apteki J. K. M., bo Hecker, aptekarz królewski nie miał, ale z szkatuły cyruliczka niejakiego, Bóg wie, jakiej preparacji, zaczem subsecuta superpurgatio (miał ad minimum półtorasta dejectiones przez 3 dni) z przyłączeniem malignae febriculae, tak prostravit vires regias, że ani Pan Paweł Podchocimski, horodniczy Wileński, po którego wprzódy posłano, ani ja, który tygodniem przed śmiercią przyjechał z Wilna z królowej medikami, nic radzić nie mogły... Nieszczęsne, szkapie prawie

lekarstwo do czego tak dobrotliwego Pana nie przywiedło. Ale rzecz była zatarta, a jeden znakomity rzekł do mnie, jeżeli co wypowiesz, albo pisać będziesz przeciw Krafftowi, sam stringam na cię calamum, a pokaże się, żeś ty winien, a nie on"... Przy sekcji wydobyto z prawej nerki kamień kształtu łódki i wiele innych mniejszych. Z tego wszystkiego wnosićby wolno, że przyczyną śmierci królewskiej była może wtórna infekcja na tle kamicy nerkowej. Że zaś „prawie szkapie lekarstwo" Kraffta także swoje zrobiło, wydaje się również ewentualnością nie pozbawioną prawdopodobieństwa.

Sekcje zwłok w wieku XVII w Polsce wcale nie należały do rzadkości. Oczywiście mniej dlatego, aby się miano szczególnie interesować anatomją patologiczną. Przyczyna leżała gdzieindziej. Pogrzeby wówczas, o ile chodziło o osoby znakomitsze, odbywały się późno, nieraz dopiero kilka miesięcy po śmierci. Zygmunta III, który zmarł 30 kwietnia, chowano z wielką pompą w Krakowie dopiero w styczniu roku następnego. Wobec tego należało ciało zabezpieczyć przed psuciem się zapomocą balsamowania, do czego znowu potrzebne było „exenterowanie". Dzięki temu jednak nastąpiło pewne obycie się — wyższych przynajmniej warstw — społeczeństwa polskiego ze sprawą pośmiertnego otwierania zwłok. To też w początku XIX wieku zwróci na tę okoliczność uwagę Józef Frank w Wilnie, zaznaczając wyraźnie różnicę zachowania się pod tym względem przedstawicieli społeczeństwa polskiego i Rosjan, których wstręt do zezwolenia na sekcję osób bliskich bywał daleko trudniejszy do przezwyciężenia. Profesorowie uniwersytetu, wykonywający jednocześnie prywatną praktykę lekarską, zwłaszcza sam Frank i Jędrzej Śniadecki, z reguły starali się sekcjonować prywatnych pacjentów, zmarłych na mieście, ilekroć spodziewali się naukowych stąd korzyści. Co prawda, czasem wypadało im używać w tym celu nawet podstępu. Wracając do wieku XVII, wiadomo, że

posiadamy z tych czasów cały szereg ogłoszonych już protokołów sekcyjnych, o innych zaś autopsjach pewne wiadomości. O Zygmuncie III książę Radziwiłł mówi, że podczas sekcji wszystkie jego wnętrzności znaleziono zdrowe: „serce, nerki, wątrobę, śledzionę całe znaleziono — mógłby jeszcze 20 lat żyć". A P. des Noyers wspomina, że u księcia Janusza Radziwiłła, zmarłego w Tykocinie, którego ostatnie chwile tak dramatycznie opisał Sienkiewicz w „Potopie", znaleziono jelita czarne, również serce, które było niezwykłej wielkości. Chrapowicki wspomina, że, exenterując zwłoki JW. Alexandra Naruszewicza, Podkanclerzego Litewskiego, znaleziono płuca nadpsute. Co się tyczy samego balsamowania, to wykazywano w tym kierunku, stosownie do tego, kto i w jakich okolicznościach balsamował, niejednakową zręczność. Tak np. wiemy, że po zabalsamowaniu Jana III twarz była „tak srodze od merkurjusza zmieniona, iż ją musiano przykryć sztuczną malowaną" (list Załuskiego, biskupa Płockiego, cytowany w pracy Łunińskiego — Bibl. Warsz. 1908 — Luty). Tenże biskup wspomina, że śmierć króla miała być następstwem nadużycia rtęci z porady lekarza Jonasza, żyda. Natomiast bardzo zaimponowało zabalsamowanie ciała Zygmunta III Radziwiłłowi. „Wtedy (po zabalsamowaniu) wróciła pierwsza cera twarzy królewskiej z podziwieniem wszystkich, to jest czerwonawa", (podczas gdy po śmierci była woskowo blada); — a 7-go maja znowu pisze: „ciało królewskie żadnego swędu nie wydawało, chociem ja umyślnie nos przytykał, a co dziwniejsza, twarz rumiana dawny wigor miała, co u wszystkich było w podziwieniu." Naturalnie i tu nie obyło się prawdopodobnie bez zręcznego zastosowania sztuki malarskiej.

Właściwie tylko raz we wszystkich tych pamiętnikach spotkałem się z opisem zaburzenia psychicznego przedstawionego jako takie. Obłęd pijacki bowiem Brzezickiego w oświetleniu pamiętnikarza jest fenomenem demonologicznym, podobnie jak halu-

cynacje, których treścią było wesele krasnoludków czy skrzatów w opowiadaniu Paska. Naturalnie, że z takiego samego punktu widzenia traktuje ostatnio wspomniany autor też swoje własne gorączkowe wizje (zjawa zakonnika, który mu przepowiada wyzdrowienie). Natomiast kreśli on nam wyrazistemi rysami postać kasztelana Wodyńskiego ze Strzały pod Siedlcami, którego bez zastrzeżeń uważa za chorego na umyśle. Może to była paranoia, może też epilog jakiejś psychozy o ostrzejszym i gwałtowniejszym zrazu przebiegu, i to się wydaje rzeczą prawdopodobniejszą, sądząc co prawda z niebardzo wybitnego otępienia, którego wolno się domyślać z Paskowego obrazu. Niektóre szczegóły, a więc „pasyjka" na czapce, chłopiec z mieczem, którym chory od czasu do czasu aż do zmęczenia wymachuje, wielka powaga w zachowaniu się, a wreszcie historja (był on niegdyś podobno znamienitym żołnierzem) pozwalają na przypuszczenie, że może Kaczkowski zapożyczył się nieco u pana Paska, tworząc postać swego „Męża Szalonego".

W pamiętniku księcia Radziwiłła (T. II, str. 208) natrafiamy na notatkę, dowodzącą, że przypadki nienormalności psychosexualnej sfery kilkaset lat temu także zwracały na siebie uwagę, choć oczywiście inaczej niż dziś bywały tłumaczone: „był jeden duchowny, który zwykł był przebierać się po białogłowsku i tak sypiał, jak on sam mawiał, z radv lekarzów. Tak śpiący, znaleziony od biskupa, 3000 winy musiał zapłacić i od tego czasu zaprzestał tak złego zwyczaju." Kto wie, czy ta, niesłychanie prosta, a dla leczącego wysoce pożyteczna metoda terapeutyczna dziś także nie dałaby w niektórych przypadkach analogicznych pożądanego skutku?

Ale wypadnie nam raz jeszcze wrócić do nieocenionego pana Jana Chryzostoma. W rozdziale, opisującym Duńską kampanję, znajdujemy bowiem u niego relację, tym razem

o psychicznej terapji, zastosowanej przez lekarzy w jakiejś bliżej nam nieznanej chorobie Stefana Czarnieckiego. „Po przewodniej niedzieli“, mówi Pasek, „zachorował wojewoda niebezpiecznie, wszyscy zlękliśmy się bardzo. Posprowadzano różnych lekarzy, elektor przysłał też swoich. Admirał Holenderski przysłał lekarza okrętem, bardzo sławnego, ale nie pomnę, z którego miasta. Po naradzie rozkazali lekarze, żeby mu muzyka grała ciągle, grano też zawsze w drugim pokoju na cichych narzędziach, jako na lutniach, cytrach i innych. Takci przyszedł do zdrowia.“

A teraz, jaki wówczas był stosunek publiczności do medycyny i jej przedstawicieli?

Oczywiście dziś formy życiowe straciły dużo z ówczesnej surowości i pomimo wszelkich, nieraz nas jeszcze rażących braków uspołecznienia, pomimo tego, że anarchicznych jednostek społeczeństwo nasze obecnie jeszcze niestety posiada stanowczo za wiele, przecież w naszych czasach nie wozi się już lekarzy w workach, przytroczonych do kulbaki, ani nie wymierza im na granicy swego majątku chłosty w razie chybionej kuracji. Jednakże zdarzają się i zdarzać będą niejednokrotnie zatargi pomiędzy lekarzami a publicznością. Źródło ich — w odmiennem obu stron stanowisku. Chory od swego lekarza wymaga naogół jednej tylko rzeczy, ale zato wymaga bardzo stanowczo, mianowicie zdrowia, albo przynajmniej ulgi w cierpieniach. Lekarz tymczasem bardzo często nie może dać pierwszego, a nie zawsze zdolny jest dać drugą, choć przyznać należy, że także pod tym względem warunki zmieniły się na korzyść. Wszelako, uwzględniając wymagania publiczności, rosnące odpowiednio do powiększania się sprawności sztuki lekarskiej, nieustosunkowanie między tem, czego jedna strona oczekuje, a tem, co druga dać może, w zasadzie 250 lat temu było mniej więcej takie jak dzisiaj.

Jeśli więc czytamy w djarjuszu p. Chrapowickiego, wojewody Witebskiego, notatkę następującej treści: „żona moja dziś małoco nie umarła po lekarstwach doktora pana Podkomorzego Koronnego. O galenistowie, o błaznowie, bodaj was samych zabito z takiemi lekarstwy!" to w tym wykrzykniku dopatrywać się będziemy raczej tylko ogólnoludzkiej psychologji, zawiedzionego w swych nadziejach człowieka, nie zaś specjalnej psychologji magnata z XVII w. Nie zdziwi nas też okoliczność, że pan wojewoda, wypowiedziawszy apostrofę, w czambuł potępiającą „Galenistów", przecież w dalszym ciągu ani myśli wyrzekać się ich pomocy dla siebie i swoich bliskich.

[illegible]

A teraz, jaki wówczas był stosunek publiczności do medycyny i jej przedstawicieli?

Oczywiście dziś formy życiowe straciły dużo z ówczesnej surowości i pomimo wszelkich, nieraz nas jeszcze rażących braków uspołecznienia, pomimo tego, że anarchicznych jednostek społeczeństwo nasze obecnie jeszcze niestety posiada stanowczo za wiele, przecież w naszych czasach nie wozi się już lekarzy w workach, przytroczonych do kulbaki, ani nie wymierza im na granicy swego majątku chłosty w razie chybionej kuracji. Jednakże zdarzają się i zdarzać będą niejednokrotnie zatargi pomiędzy lekarzami a publicznością. Źródło ich — w odmiennem obu stron stanowisku. Chory od swego lekarza wymaga najogół jednej tylko rzeczy, ale zato wymaga bardzo stanowczo, mianowicie zdrowia, albo przynajmniej ulgi w cierpieniach. Lekarz tymczasem bardzo często nie może dać pierwszego, a nie zawsze zdolny jest dać drugą, choć przyznać należy, że także pod tym względem warunki zmieniły się na korzyść. Wszelako, uwzględniając wymagania publiczności, rosnące odpowiednio do powiększania się sprawności sztuki lekarskiej, niewspółmierność między tem, czego jedna strona oczekuje, a tem, co druga dać m[illegible]sadzie 250 lat temu było mniej więcej takie jak dzisiaj.